Nr. 7. Warszawa, dnia 2 (14) Lutego 1872 roku. ROK VIII.

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ —
miesięcznie — „ 25

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Światu), Nr. 3 (nowy).

Serya trzecia

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

TREŚĆ.—O stosunku pracy umysłowej do pracy fizycznej, odczyt Juljana Ochorowicza, (ciąg dalszy).—O temperamentach dzieci, odczyty publiczne miane w Krakowie, przez Lucyana Falkiewicza, (ciąg dalszy).—Z powodu artykułu pana Niewiadomskiego: „O trucicielkach w Państwie Flory", przez D-ra Bagieńskiego, (C. d.).—Przegląd piśmiennictwa polskiego, przez I. Kotarbińskiego, (dokończenie). — Z kroniki przemysłowej i społecznej: O towarzystwie wzajemnego kredytu, przez J. Święcickiego..—Druga miłość. Powieść Julii Kavanagh, tłómaczenie W. Bartkiewicza, (ciąg dalszy.) — Wieniec. — **W dodatku**: Dziesięcioletnia Podróż po Wschodzie, przez Ignacego Pietraszewskiego, (ciąg dalszy).—Dług honorowy, powieść Adama Bełcikowskiego, (ciąg dalszy).

O PRACY UMYSŁOWÉJ
w stosunku do pracy fizycznéj.

ODCZYT PUBLICZNY

JULJANA OCHOROWICZA,

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 5.)

* * *

Przechodzimy do pracy twórczéj.

Na czém polega praca poety tworzącego powieść, poemat lub dramat? Wyrazy, których używa, nie są dziełem jego twórczości—wyobrażenia do nich przywiązane, również są znane powszechnie—obrazy i sceny, które odtwarza, są, albo wprost wzięte z życia, tak, że podobne im widywaliśmy na własne oczy, — albo też czerpane ze świata wiary, legend.... lub historyi również wspólnych danemu społeczeństwu lub danéj jego cząstce, wśród któréj autor się wychował.

Cóż więc nowego przynosi nam poeta? Dlaczego pracę jego nazywamy twórczą? W każdym utworze prawdziwie poetycznym, jest pewna doskonałość i podniosłość, barwistość i symetrya, których nie napotykamy w życiu.

To, co w życiu znajdujemy rozsypane — tu, skupia się w jedno świetlne ognisko; to, co w życiu było drobném — tu olbrzymieje; co było w cieniu, podnosi się do światła; co było powszedniém, staje się świątecznem. Zdarzenia zmieniają się w sceny—jednostki w typy — a słowa w idee.

W doborze i układzie wyrazów, widzimy pewną oryginalną prawidłowość, pewną harmoniją rymu i rytmu; pewną kunsztowność w następstwie myśli i sytuacyi, uczuć i wypadków, która żywością akcyi i plastycznością obrazów—wzbudza odpowiednie władze ducha, a tém samém, rodzi w nas przyjemność.

Wszystko doświadczone kiedykolwiek, przeżyte i przemarzone,—w duszy artysty, zcina się i krystalizuje w jeden posągowy utwór sztuki.

Najdrobniejsze wrażenia składają się niepostrzeżenie na ową mozajkę duchową.

Z drobnych niepozornych okruchów doświadczenia, z odpadków zasłyszanych zdarzeń i myśli, jednym twórczym prądem uniesionych, fantazja artysty-wynalazcy buduje wspaniałe gmachy poezyi, rozpala płomień nowych idei, wytwarza owoc nowych wynalazków. W dziele sztuki wszystko może być wziętém z natury, oprócz samego *sposobu wzięcia.*

Samodzielność zatém w pracy twórczéj, polega nie na tworzeniu materjału,—lecz na umiejętności w wyborze, w obrobieniu go, i zorganizowaniu w jedną harmonijną całość.

Poeta z kamyków, buduje nam świątynię—z atomów, żywy organizm! Słusznie więc pracę jego nazywamy *twórczą.*

Panuje wprawdzie przekonanie, że utwory poezyi nie są dziełem pracy, lecz natchnienia; ale niestety! ażeby miewać dobre natchnienia, potrzeba pierwéj dobrze pracować. — Natchnienie jest tylko echem uprzedniéj pracy, rozbudzoném chwilowémi pobudkami. — Trzeba wiele obserwować, wiele doświadczyć, wiele przeczytać, ażeby to echo nie było czczym dźwiękiem, lub nie wyczerpało się zbyt prędko. Nawet utwory, będące owócem chwilowego podniecenia fantazyi, chwilowego natchnienia, bardzo często, i to przy najpotężniejszych zdolnościach twórczego umysłu, wymagają jeszcze stanowczego ich opracowania. Im większy genijusz artysty, im podnioślejszy ideał jego ducha,—tém trudniéj mu zadowolnić się tą formą, w jaką go przelać usiłuje. Wiémy, z jaką starannością Goethe wykończał swoje poezje, a Leonardo da Vinci—swe obrazy. Horacy radził przez 7 lat oglądać wiersz napisany. Platon, bozki Platon, dwadzieścia razy rozpoczynał djalog „o rzeczypospolitéj," nim znalazł taki wstęp, jaki odpowiadał głębokiéj jego intuicyi o idei wcielonéj prawa politycznego i urządzeń społecznych[1]. Najzręczniejsze zwroty w wykwintnym i potoczystym stylu Jana Jakóba Rousseau, według własnego jego zeznania, były po kilkanaście razy przerabiane i poprawiane. W rękopismach Juljusza Słowackiego, któremu niepodobna nie przyznać szalonéj zdolności wierszowania, znajdujemy całe ustępy, całe stronice, po kilka razy przekréślane i zmieniane. Piérwsze dramata Corneilla i Racina, podobnie jak piérwsze opery Mozarta i Haendla,—były wygwizdane. Beethowena piérwsze symfonije nie kwalifikowały się do grania. Goethe uważał młodego Schillera nietylko za człowieka pozbawionego poezyi, ale i zdrowego rozsądku,—a Eugeniusz Sue, Balzak, Lytton Bulwer, Kraszewski i w. i. pierwszorzędnych pisarzy, rozpoczynało swój zawód od niedołężnych produkcyj. Meyerbeer, któremu w r. 1820 Bayle przyznawał tylko tyle, że pracuje po 15-e godzin dziennie, i że ma *cokolwiek talentu,*—był jednak później twórcą Hugonotów, Proroka i Roberta Djabła!..

Możemy więc powiedzićć, że praca twórcza jest — rzeczywistą *pracą.*

* * *

Wytężona praca twórcza, pogrąża myśl artysty w głębi własnego jego ducha—rodzi w nim odrębny świat marzeń i poezyi, dla którego zapomina o świecie otaczającym. Ztąd też hallucynacye i wszelkiego rodzaju fantazyjne złudzenia zmysłowe, są objawem bardzo pospolitym u genijalnych poetów i artystów. Jeden z najzdolniejszych powieściopisarzy, Flaubert, w liscie do Henryka Taina, pisze, że wybitniejsze postacie jego romansów, ścigają go i prześladują, rodząc formalne złudzenia. „Opisując otrucie Emmy Bovary, mówi on, czułem najdokładniéj smak arszeniku w ustach, i, rzecz dziwna, doznałem jego skutków w sposób tak dotkliwy, że nie mogłem się powstrzywać od użycia środków lekarskich." Goethe, miewał sławne swoje widzenia kwiatów fantastycznych, które w rodzaju fontanny, wyskakiwały jedne z drugich. Walter Skott, miał widzenie zmarłego swego przyjaciela Byrona, który mu się ukazał w fałdach firanki. Jean Paul Rychter, mniemał częstokroć, że widzi twarz dziewczynki wyglądającéj przez okno. Z naszych poetów, Dominik Magnuszewski przedstawiał w wysokim stopniu tę chorobliwą skłonność do hallucynacyi. W większym lub mniejszym stopniu miewają je wszyscy poeci, zwłaszcza, w chwilach wytężonéj pracy twórczéj, która ideał myśli, z całą żywością kolorytu, stawia przed okiem wewnętrznego zmysłu. Wtedy mistrz wpatruje się tylko w ten obraz duchowy, i.... czy to będzie Ofelja, czy Lilla Weneda, Franciszek Moor, czy Faust lub Werther,—potęgą intuicyi, obraz ten zaklina w martwe szeregi liter, ażeby znów, pod tchnieniem wyobraźni czytelnika, zmartwychwstał w całéj swéj pierwotnéj prawdzie i sile.

* * *

Praca *poety dramatycznego*, wymaga współudziału wszystkich władz umysłowych, a za punkt oparcia musi miéć koniecznie doświadczenie życiowe. Dlatego też talent dramatyczny rozwija się pó-

[1]) Porównaj „Libelta Estetykę" T. I. str. 385. Wyd. 2-e.

źniéj od innych — i, rzecz godna uwagi — talent tragiczny pierwéj, aniżeli talent komiczny. Piérwszy bowiem mniéj czerpie z życia i więcéj mu wolno polegać na saméj fantazyi, która z ludzi tworzy posągi; — chcąc zaś z ludzi robić karykatury, chcąc być humorystą, potrzeba koniecznie zagłębić badawcze oko w realizm powszedniego życia, i na nim się oprzéć. O ile dramat potrzebuje namiętności, o tyle komedja spokoju. Tragedja nie zna drobiazgów i małostek codziennéj pracy— komedyja bez nich nie byłaby komedją. Już to samo wskazuje na większy udział obserwacyi i rozwagi w komedji. Mamy przykłady, że znakomita tragedja napisaną była w 20 m roku życia, jak to miało miejsce np. ze Zbójcami Schillera, ale nigdy wyższa komedja lub głęboka psychologiczna powieść, nie jest produktem młodzieńczéj siły, nie posiadającéj jeszcze ani dosyć doświadczenia, ani zimnéj rozwagi i krytyki, ani wprawy w wierne kopijowanie typów i ideałów. Najlepsze komedje Molièra, jak: le Tartufe, le Misantrope, l'Avare, les Bourgeoi gentillhome, les Femmes savantes, utworzone były po 40-m roku życia. Dzieła oparte przeważnie na fantazyi, czy to poetyckiéj, czy wynalazczéj, czy matematycznéj,—powstają już w 18-m lub 20-m roku życia. Pomiędzy 30—40 dochodzą swego *maximum* — poczém fantazja twórców bardzo szybko słabnie, a częstokroć i życie wraz z talentem wyczerpuje się. Przykładem mogą być Raphael, Mozart, Weber, Byron, Pascal i w. i. Najdłużéj z nich żył Pascal, a jednak umarł w 39-m roku życia.

W rozwoju każdego wielkiego umysłu, piérwszy stopień stanowią prace, będące dziełem fantazji.

Mozart, w 18-m roku napisał już 6-ć sonat—Haydn, w 13-m roku skomponował mszę. Piękna symfonija Rossiniego „*Il pianto d'armonia,*" była dziełem 16-letniego talentu.

Fantazja matematyczna również wcześnie się rozwija. Pascal, sławną swą rozprawę „O sekcjach konicznych" napisał, mając lat 16-e. Lagrange, najoryginalniejsze swe dzieło: „Rachunek Warjacyj", napisał w 18-m roku życia.

Najsilniejsze umysły zaczynają zwykle od poezyi.

Daundolle był poetą zanim został botanikiem.

Ampère pisał wiérsze, zanim został surowym badaczem, fizykiem i filozofem.

J. I. Rousseau rozpoczął karjerę od poezyi i fantazyjnych kombinacyj matematycznych.

Przeciwnie, prawie nie mamy przykładu, ażeby badacze ściśli, przerzucali się w późniejszym wieku na pole poezyi i abstrakcyjnych pomysłów.

Jeśli weźmiemy pod uwagę talent dramatyczny w ogóle, to statystyka nas uczy, że rozwija się on dopiero po 21-m roku życia, występuje wybitniéj pomiędzy 25—30, rośnie jeszcze do 50, utrzymując się do 55-u w tém samém natężeniu—potém zaś, stanowczo i szybko chyli się do upadku, nietylko ze względu na ilość produkcyj, ale więcéj jeszcze ze względu na ich wartość artystyczną. Według badań Queteleta, najznakomitsze prace dramaturgji francuzkiéj, dokonane były po 30-m a przed 50-m rokiem życia ich autorów. Żadne z nich nie powstało przed 21-m rokiem, ani też po 55 roku życia. Biorąc jeszcze szerszy zakres umysłowéj pracy społeczeństw, dochodzimy do przekonania, że przeciętnie 25-y rok życia jest epoką, w któréj rozwój intelligencyi dosięga swego *zenitu*. Jestto właśnie chwila, w któréj cielesny rozwój organizmu już się skończył.

Naukowa praca myśli, mniéj opierająca się na fantazyi, a więcéj na chłodnéj obserwacyi i ścisłéj krytyce, właściwą jest epoce dojrzałości męzkiego ducha. Ani zapał młodzieńca, ani powaga starca, nie zastąpią téj trzéźwości umysłu, jaką daje wiek średni, mający za sobą tradycyą doświadczenia, pewność rutyny i spokój duchowy. Wiadomo też, że z wiekiem zdolność do pracy umysłowéj zmniejsza się, przytomność umysłu słabnie, i zmęczenie łatwiéj bierze górę.

Ze względu na płeć, nierówność podziału pracy jest jeszcze więcéj rażącą. Nie mamy danych statystycznych, z którychbyśmy mogli wyprowadzić wnioski o liczebnym stosunku mężczyzn i kobiet pracujących umysłowo. Nie ulega jednak wątpliwości, że stanowcza przewaga wypadłaby po stronie mężczyzn. Czy ma to dowodzić, że mózg kobiéty już z natury swéj, nie jest zdolnym do systematycznéj pracy umysłowéj? Na pytanie to odpowiémy, po rozbiorze fizjologicznéj zależności pracy myśli od pracy ciała, na którą też obecnie zwrócimy naszę uwagę.

(*D. c. n.*)

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(*Ciąg dalszy*).

d) Fantasta.

Marzyciele tacy należą do rzędu ludzi, co wiotkiémi wyobrażeniami zaprzątają sobie umysł, a ubrawszy je w pstro-barwne, nibyto doborowo-poetyczne wyrazy, drugim jeszcze niémi głowę zawracają.

Dzieje się to wprawdzie nie w złym zamiarze, lecz z wrodzonéj próżności, czyli chęci podobania się i błyszczenia wszędzie. Zdobywanie więc pochwał i admiracyi, jest głównym celem tych sentymentalnych zefirów.

Podobne usposobienie, jeżeli się w dziecku objawi, w młodości urobi, a w dojrzalszym wieku w nałóg przejdzie,—może być nader szkodliwém w swych skutkach, tak dla popisujących się tym talentem, jako też dla ulegających wpływowi takiego napuszonego charakteru. Na takich bowiem czczych słówkach, na pozór mile brzmiących, zawiedzie się niejedno szczere, a łatwowierne serce.

Frazes pozorem swym wiele obiecuje, bo ma albo formę udatną, albo zawiera nawet myśl piękną... choć cudzą,—ale w ustach fantasty niczém inném nie jest, jak mydlaną bańką. Brakuje mu podstawy, t. j. właściwego zastosowania, a przedewszystkiem owéj indywidualnéj żywotności myśli, czyli istotnéj siły.

Wszystko jest pustym wiatrem, goniącym lekkie chmurki po niebie, i zwodniczém mamidłem, niezostawiającém po sobie żadnego głębszego wrażenia. Chwilowe złudzenie — nic więcéj!...

Ileż to gładkich listów pisze się w podobny sposób, ile wygłasza górnolotnych i czczych sentencyj, w których nie mieści się nic ani rozumnego, ani pożytecznego.

Takie błędy—powiedzmy raczéj choroby—nawyknieniem nabyte, dadzą się w młodzieży najskuteczniéj powstrzymać, jeżeli się we wszystkiém co dzieci mówią i piszą, a zwłaszcza w piśmiennych wypracowaniach, nie dopuszcza przesady, t. j. próżnoozdobnych przymiotników, zwrotów napuszonych, zkądinąd wziętych, a nie z własnéj myśli, i niewłaściwie zastosowanych.

Przytém należy w uczniu wyrobić przekonanie, że niewinna prostota więcéj zdobi, jak błyszcząca pstrocizna. Najsztuczniejsza mozajka, chociaż z najdroższych złożona kamieni, — nie wytrzyma porównania z najskromniejszym widokiem, malowanym w natchnieniu, z wzoru niewyczerpanéj we wdzięki, natury. Należy uczniowi objaśnić, że czysta prawda obejdzie się bez przepychu i jaskrawych ozdób. Zły to malarz, co za efektami goni; podoba się na chwilę, zachwyci nieznawców,—lecz czas, ów sędzia surowy, nie przyzna trwałéj wartości jego dziełu, które pod poważną krytyką, potém upaść musi. Daléj, przedstawić mu należy, że pięknėm i prawdziwém jest tylko to, co wszędzie i zawsze ogół za takie uzna, i za wzór do naśladowania następnym pokoleniom przekaże. Nakoniec, wypadnie ucznia podlotka przyzwyczajać do bacznego przypatrywania się przedmiotom, które go otaczają, i śledzenia w nich samych, właściwych im cech i przymiotów, jeżeli w jakiéjkolwiek formie zechce te przymioty odwzorować. Tym sposobem tworzy się w dzieciach oryginalność, budzi zamiłowanie do prawdy, i wlewa się w nich to przekonanie, że genijusz, jak światło słońca, łagodnym i cichym promieniem świat oświeca i ogrzewa,—a tylko błyskawica, jaskrawo i z łoskotem zapalając się w chmurach, gdy uderzy w ziemię, szkodę jéj zrządza. Naśladowanie dobrych wzorów jest nader pożyteczne dla początkujących; takowe wszakże nie powinno wyprzedzać, oryginalnych utworów, a raczéj postępować za niémi i tym ostatnim, w miarę postępu, na zawołanie w pomoc przychodzić. Na taką drogę wprowadzony uczeń, chociażby już i zakosztował odurzającéj go fantazji, wytrzeźwi się powoli z szału, a u zdroju czystéj prawdy pozbędzie się trapiącéj kołowacizny i zawrotu głowy.

e) Cnotą tego zakresu jest uprzejmość.

Żywiołami, z których składa się uprzejmość, są wrodzone dzieciom sangwinicznego temperamentu, przymioty: miła otwartość, szczera ufność i serdeczność, które przy dobrém wychowaniu natrafiamy często, w połączeniu z wdziękiem i prostotą serca,—cnotami sprawiającémi nader miłe wrażenie na oko i duszę.

Nie należy wszakże tych pięknych zalet brać za *łatwowierność*, — ta bowiem objawia się w charakterze *gadulstwa*, niedającego pupillowi nic w sobie zatrzymać.

Do cnoty uprzejmości, przyzwyczaja się dzieci łagodnością, i taką samą, w obejściu z niémi, uprzejmą otwartością. Do utrwalenia tego pięknego przymiotu najbardziéj przyczynia się swobodny umysł, i wrodzona wesołość wychowawcy lub nauczyciela, które to czynniki wywierają najzbawienniejszy wpływ na dzieci, i skuteczniéj działają, niż surowa i ponura powaga pedanta. Ustawiczne marszczenie czoła i zamyślanie się mentora, odstręcza dzieci i przestrasza, jak podnosząca się burza na widnokręgu. Tak samo znowu, zbytnia miłość i poufałość nauczycieli szkodliwie odziałałyby na dzieci, jak ich zdrowiu szkodę przynieść może zbytek w użyciu łakoci.

Z tych kilku wskazówek, łatwo doświadczony kierownik wynajdzie miarę dalszego postępowania ze swymi wychowańcami.

ROZDZIAŁ VII.

5. Zakres umysłu. *)

Cokolwiekbądź, jako proste, bezwiedne uczucie i wiara, spoczywa w głębi istoty człowieczéj,—to wszystko dopiero samodzielny umysł swą siłą duchową wydobywa z ukrycia, wprowadza w życie, i swém światłem opromienia.

Umysł jest najwyraźniejszém i najczystszém przeciwstawieniem wyobrażeń zmysłowych, gdyż on tworów swoich nie wyprowadza z samego tylko świata cielesnego, lecz więcéj ze swéj własnéj, czysto-duchowéj istoty. Podstawą umysłu jest rozum ze wszystkiémi swojémi posiłkowémi częściami—które to funkcye zbiorowo, stanowią niejako przygotowawczą szkołę umysłu.

Umysł zamyka zakres myślenia,—widzi on nietylko same szczegóły, lecz obejmuje sobą cały ogół duchowego świata, mianowicie, rzeczy najwyższe, będące skończoną całością. Z téj właśnie sfery dusza ludzka czerpie pojęcie Bóztwa, jako początku wszechtworów, a rozpatrzywszy się w prawach wszechświata, niemniéj w prawach własnéj jaźni duchowéj t. j. *myśli*,—znajduje urzeczywistnienie nieskończoności w skończoności.

Do téj wysokości podniesiona siła duszy, tworzy sobie własny świat moralny i porządkuje go według własnych praw, na podstawie zasad, których celem jest *porządek*, *prawda* i *piękno*. Widzimy więc, że w zakresie umysłu, jako najwyższéj potędze sił moralnych, wad być nie może,—bo tu jest cymboryum ducha, w którém mieści się to wszystko, co człowiek moralny posiada najświętszego, t. j. *Boga*, *przekonania* swoje i *uczucia*. Obowiązkiem przeto wychowania będzie tylko: cnoty tego zakresu w wychowanku żywić, ten dar losu w nim pomnażać, do ideału podnosić—a tém samém, doprowadzać go stopniowo do dalszego wyrabiania się własną siłą, i przygotowywać do spełnienia właściwego przeznaczenia, wskazawszy mu za cel życia: *znalezienie ludzkości i siebie w samym sobie*, a za najwyższą mądrość: *poznanie Boga we własnéj swojéj duchowéj istocie*.

Cnotami zakresu *umysłu*, są:

a) Miłość ludzi.
b) Odwaga i energja.
c) Mądrość.
d) Uczucie honoru.

a) Miłość ludzi.

Dar miłości bliźniego i całéj ludzkości, w wieku dziecinnym objawia się tylko przy usposobieniu genijalném; przy innych temperamentach, miłość dla bliźnich i ludzkości, wykształca się dopiero w wieku dojrzalszym, kiedy dusza ludzka, we wszystkich kierunkach duchowych, ze swémi czynnościam na zewnątrz, wejdzie w pewną zgodę. Jedną stroną tego wysokiego przymiotu jest *litość*, drugą—czynna i szczodra *miłość*.

Krzewienie téj ostatniéj cnoty jest najpierwszym obowiązkiem tych wszystkich, którym los powierzył jakąkolwiek opiekę nad dziecinnym wiekiem.

Nauka o równości wszystkich ludzi przed obliczem Stwórcy i wobec praw, jest podstawą do ugruntowania tego świętego uczucia miłości bliźniego.

Niedola współbliźnich nie powinna być tajemnicą dla dzieci. Niedostatek i potrzeby, cierpienia moralne i materyalne współbraci naszych, należy przedstawiać wychowankowi z uczuciem współudziału, i zachęcać do postawienia się drogą pracy w możności niesienia ulgi nieszczęśliwym i cierpiącym. W przykładzie własnym winno się młodocianemu sercu dać poznać, jak się ono chronić ma od mściwości i prześladowania tych nawet, którzy nam krzywdę wyrządzili, starannie zarazem przestrzegając, ażeby zarozumiałości, pychy i próżności, nie brano za szlachetność. Tym sposobem przygotujemy dziatwę do pełnienia prawdziwego *obowiązku*, którym jest niepozorna i obłudna hypokryzja, nabożnisiostwo, czyli formułkowe wykonywanie powinności człowieka,—ale *prawdziwe* pojęcie i czyste zrozumienie nauki chrześcijańskiéj. (*d. c. n*)

*) Niech nam wolno będzie tak nazywać *Wiedzę*, ten najwyższy przymiot człowieka.

Z POWODU ARTYKUŁU PANA NIEWIADOMSKIEGO:

„O TRUCICIELKACH W PAŃSTWIE FLORY."

Podał Dr. Józef Bagiéński.

(Ciąg dalszy).

Familja Migdałowych (*Amygdalaceae*).

Do téj familji należą drzewa tak zwane pestkowe (*Drupaceae*), których owoce pod względem ekonomicznym i dyetetycznym są bardzo ważne, wszakże samo nasienie w pestkach zawarte, za podejrzane, niekiedy bardzo szkodliwe poczytane być powinno. Pod tym względem najbardziéj jest interessującym *Kwas wodosinny*, we wszystkich prawie pestkowych i jabłkowych roślinach znajdujący się.

1. Migdał pospolity (*Amygdalus communis*). Drzewko uprawia się w Europie południowéj, na wyspach archipelagu Greckiego i w Azyi mniejszéj. Dwie są odmiany tego drzewa, różniące się smakiem samych nasion. Z tych, odmiana dająca bujniejsze nasiona, daje migdały słodkie, druga z drobniejszémi nasionami, daje gorzkie migdały. Te ostatnie, w skutkach swoich, są zupełnie od pierwszych różne; są bowiem trujące przez obecność kwasu wodosinnego. Pół funta gorzkich migdałów użyte wewnątrz, zdolne są przyprawić człowieka o śmierć.

2. Śliwa Wawrzynośliwowa (*Prunus Laurocerasus*). Drzewko z krajów wschodnich do Europy przeniesione, znacznie ma mniejszą ilość kwasu wodosinnego w pestkach swoich jagód, od gorzkich migdałów. Nasze krajowe pestkowce: Śliwa zwyczajna (*Prunus domestica*) Węgierka, Wiśnia (*Prunus Cerasus*), i Czeremcha (*Prunus Padus*), bardzo małą ilość kwasu wodosinnego zawierają i dla tego do przemijająco szkodliwych należą.

Familja Crassulaceae.

1. Rozchodnik Pryszczyrnik (*Sedum acre*). Roślina krajowa, na piaskach i murach nizko rozesłana. Liście ma mięsiste, drobne, jajowate, dachówkowato ułożone. Sok świeży z téj rośliny znakomitą ostrość posiada; wewnątrz użyty wzbudza gwałtowne womity i zapalenie żołądka. Przyłożony na skórę, bolące pryszcze naciąga.

Familja Ostromleczowych, (*Euphorbiaceae*).

1. Ostromlecz lekarski (*Euphorbia officinarum*) i dwa inne gatunki Ostromlecza (*E. antiquorum i E. canariense*), wydają sok mleczny, ostry, gryzący, na powietrzu prędko wysychający, który stanowi produkt gwałtownie jadowity, pod imieniem Gumy *Euphorbium* znajomy. Wewnątrz, w małéj nawet ilości użyty, działa jak gwałtowna, śmiertelna trucizna. Proszek przy tłuczeniu téj gumy ulatujący w powietrzu, sprawia uporczywe kichanie, katar i mocne krwawienie z nosa. U nas rosnące gatunki Ostromleczów dosyć są liczne, lecz nie tylko cechami botanicznemi różnią się od zagranicznych, ale i własności trujących nie posiadają.

Familja Wrzosowych, (*Ericaceae*).

1. Bagno pospolite (*Ledum palustre*). Roślina krajowa, na torfowych błotach pospolita. Krzew łokciowy, liście równowązkie, kwiaty białe. W stanie świeżym, a zwłaszcza w czasie kwitnienia, wydaje tęgą, odurzającą woń, zdolną wzbudzić silny ból i zawrót głowy; ztąd rosnące razem z bagnem jagody z Borówki Łochyni (*Vaccinium uliginosum*) lud *pijanicami* nazywa, dla bólu i zawrotu głowy, przy zbieraniu jagód, od sąsiedniego bagna doświadczanego. Oprócz tego, gorszych skutków bagno nie sprawia, nawet wewnątrz użyte.

Familja Thymeleaceae.

1. Wawrzynek Wilcze łyko (*Daphne Mezereum*). Krzew dwułokciowy, u nas w kraju w lasach cienistych rosnący. Kwitnie na wiosnę, przed wydaniem liści; kwiaty różowe, bezszypułkowe. Liście lancetowate, jagody czerwone, lśniące. Kora i liście téj rośliny, należą do trucizn ostrych, zabójczych. Przyłożone do skóry, sprawiają czerwoność, silne palenie a następnie pęcherze naciągają.

Zawiera w sobie alkaloid trujący, *Dafninę*. Drugie dwa gatunki: Wawrzynek główkowy *(D. Cneorum)* na Podolu rosnący i *D. Cnidium* ze środkowéj Europy, cokolwiek w mniejszym stopniu niż pierwszy, własności trujące posiadają.

Familja Zimowitowych, *(Colchicaceae)*.

1. Zimowit jesienny *(Colchicum autumnale)*. Roślina krajowa; rośnie na Wołyniu na łąkach mokrych. Cébulka, wielkości cebuli zwyczajnéj, w póżnéj już jesieni wypuszcza jeden lub dwa kwiaty światło-fioletowéj barwy na wiosnę zaś wypuszcza liście, pomiędzy którémi, przy nasadzie, nad samą cébulą, pokazuje się zarodek; a z tego, ku jesieni dopiero, zamienia się w dojrzały owoc. Zarodek przez całą zimę nie ginie, wytrzymując mrozy; jednak na Wołyniu nie zawsze zimę wytrzymuje, a nigdy nie chybia w Europie środkowéj. Nasiona dochodzą wielkością nasion rzepy. Nasiona i świeże cébule Zimowita, należą do trucizn ostrych, narkotycznych. Wysuszone cébule tracą połowę swych własności. Zawierają w sobie trujący Alkaloid, *Weratrynę*.

2. Ciemierzyca biała *(Veratrum album)* i C. czarna *(V. nigrum)*. Obie rośliny krajowe; rosną na łąkach wilgotnych. Mają korzeń główny stożkowaty, kwiaty wiechowate,—pierwszéj Ciemierzycy zielonawo-białe, drugiéj, — czerwono-czarniawe. Posiadają w korzeniach własności trujące w słabszym stopniu od Zimowita.

3. Ciemierzyca meksykańska *(Veratrum Sabaelilla)*. Rośnie w Meksyku i na wyspach Antylskich. Z téj rośliny przychodzą do nas, drogą handlu, torebki razem z nasionami, które posiadają własność trującą, równą Zimowitowi, a pochodzącą od tegoż pierwiastku ostrego Weratryny, połączonego z kwasem właściwym *(Acidum cevadicum)*.

Familja Asclepiadeae.

1. Obójnik pospolity *(Cynanchum vincetoxicum)*. Roślina krajowa, rośnie na miejscach gliniastych. Łodyga łokciowa, liście sercowato-podłużne, kwiaty drobne, białawe. Korzenie użyte do wewnątrz, wzbudzają silne womity. Dawniéj przypisywano téj roślinie własności niszczenia jadów i trucizn, ztąd i jéj nazwanie *(vincetoxicum)* pochodzi.

Drugi gatunek Obójnika *(Cynanchum Arguel)*, znacznie szkodliwszym jest od piérwszego, wewnątrz bowiem użyty, sprowadza gwałtowne wypróżnienie kiszek, często śmiertelne. *(d. c. n.)*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA POLSKIEGO.

(*Dokończenie*).

Na pięknéj Italskiéj ziemi, rozgrywa się akcya powieści religijnéj „Irena“, o któréj jeszcze téż słów parę zamierzamy powiedzieć. Tylko cofnąć się należy o kilkanaście wieków, stanąć myślą w Rzymie za czasów Domicyana,—a będziemy właśnie współcześni wypadkom, opowiadanym w powieści. Jestto epoka w któréj „*Bogi i ludzie szaleli na ziemi*“, a pod ziemią „*przechadzał sie duch po katakumbach*“, jak powiada natchniony autor Irydjona. Ten duch — to chrześcijaństwo, którego pierwotne walki przedstawiają tak obfity jeszcze materyał dla dziejopisarzy i twórców. Dziejopisarzom wypada jeszcze stworzyć całą genezę tego olbrzymiego zarodku religji, która cały świat objęła w swe ramiona. Wiémy, że ta religja dzisiaj, tak wybornie zformułowana w system teologiczny, określona ściśle w najdrobniéjszych, czy dogmatycznych, czy też obrzędnych szczegółach, – miała także pieluchy swego dzieciństwa, przechodziła przez niemowlęctwo symboliki pierwotnéj i prostoty patrijarchalnéj, która cechowała obrzędy i zwyczaje pierwszych gmin chrześcijańskich. Historja téj epoki bywa zwykle traktowaną z zapałem gorliwym, który, jak wiadomo, niezbyt się przyczynia do bezstronności historycznéj. Potrzeba dopiero, ażeby taki Momzen zeszedł w głębię tych katakumb, puścił się w labirynt sarkofagów z pochodnią niepodległego światła, i przedstawił widocznie cały proces ciekawy rozwoju religji, który dla wielu jest ciemną, mistyczną zagadką. Rozumié się, że zanim praca taka dokonaną zostanie,—niemożebne są dzieła literackie osnute na tle takowém, któreby miały *istotną wartość* historyczno-poetycznych utworów, a zarazem odzwierciedlały objektywnie rzeczywistość realną. To téż większa część utworów na tle podobném osnutych, w naszéj i obcych literaturach, nie mają na widoku czysto artystycznych celów, ale są *katechetyczno-pedagogicznéj* natury, t. j. chcą w łupinie powieści odwzorować ziarnko nauki religijnéj i moralnéj. „(Fabiola“ Wisemana, „Kalista“ Newmana, „Wivia Perpetua“ etc). Do takich właśnie należy „*Irena*“, i z tego punktu widzenia sądzona, jakie takie zajmuje stanowisko. Najgłówniejszą może cnotą téj książki, jest otwartość na ostatniéj karcie złożona,—gdzie autor przyznaje się, że nie myślał wcale o obrazie historycznym ówczesnego Rzymu, i wyszczególnia fakta różne od tych, które podaje historja kościelna. Do drugich należą: męczeństwa św. Klemensa, 3-go Biskupa Rzymskiego,— św. Nereusza i Archileusza,— losy św. Domicelli,— śmierć krewnego cesarza Wespazyana,— i kilka jeszcze wypadków podrzędnych. Do pierwszych, cała główna osnowa powieści. Irena bohatérka, typ szlachetnéj, pogańskiéj, nawróconéj dziewicy,— jéj opiekunka Lukrecya, nieprzyjaciółka zacięta wyznawców Chrystusa,— córka jéj Rachela, niewolnica Konsula Rzymskiego Agrykoli,—i jeszcze wiele innych postaci, które snują się przed oczami naszémi w kalejdoskopowéj czeredzie. Nie będziemy opowiadać treści, bo nie posiada żadnéj jednostajnéj ciągłości; powiémy tylko, że autor naprzemiany, to gości w celach pierwszych świętych kościoła, w katakumbach,—to wewnątrz Rzymskich domów magnackich,—to w czasie modłów tajemnych,—to wśród hucznéj pogańskiéj biesiady,—to wreszcie wśród scen krwawych igrzysk cyrkowych, gdzie dzikie zwierzęta chrześcijan rozszarpują. Wszędzie pełen życia i gorącéj wiary, wyraża się pięknem, poetycznem nieraz słowem,—ale o rzeczywistym artyzmie mowy tu być nie może. Postacie odrębne, różnią się tutaj zaledwie ogólnikowémi odcieniami, i tylko może Irena jedna i owa żydówka, barwiściéj i szczęśliwiéj narysowane. Jest tam nawet pewien zasób znajomości niektórych szczegółów Rzymskiego życia domowego,— chociaż nieraz zbyt rażące anachronizmy. Rozumié się, że religijne maksymy, wypowiadane są po największéj części językiem dzisiejszego *ultramontanizmu*. Obok tego, brak wyrobionego, chociażby słabego pojęcia o rzeczywistym ustroju i charakterze chrześcijańskiéj gminy. Biskup rzymski, najniewłaściwiéj nazywany papieżem, któryto tytuł dopiero się w wieku VI pojawił. Ale najwięcéj wadliwą stroną téj książki, są niektóre stronice chorobliwéj egzaltacyi religijnéj. Jedne z nich, szczególniéj poetyczne ustępy, zakrawają na jakieś niejasne filozoficzno-teologiczne majaczenia,—a drugie znowu, są wyrazem owéj chorobliwéj serafiicznéj miłości bozkiego Oblubieńca, przypominającéj św. Teressę. Wyjąwszy to jednak, wyjąwszy niektóre także ustępy napiętnowane nieszlachetną nienawiścią dla Judaizmu,— czytelnicy katoliccy znajdą w téj książce pożądany przez nich pokarm religijnéj nauki. Sztuka nic na niéj nie zyskała, — ale wierze oddała ona usługi prawdziwe. *J. Ko·abiński.*

Z KRONIKI PRZEMYSŁOWÉJ.

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO WZAJEMNEGO KREDYTU.

Kilka lat ostatnich, odznacza się szczególnym ruchem na polu ekonomiczném; corocznie prawie powstaje kilka nowych stowarzyszeń, corocznie zatém wzmaga się zaufanie jednych do drugich—drobne kapitały łączą się z sobą, torując drogę przemysłowi krajowemu... Wybija się go z pod szkodliwego absolutyzmu zagranicy. Ruch taki podwójne przynosi nam korzyści: materjalne, gdyż przez to potęguje się działalność wytworcza, ułatwia się szybkie obracanie kapitałem; i moralne, przez zbliżanie do siebie ludzi, wspólne mających interesa,—wzajemne ich poznawanie z sobą, — wyrabianie umysłowo-społecznych wyobrażeń śród klass, nieposiadających innego nad fachowe, wykształcenia.

Dtatego téż z radością witamy nowo zakładające się *Towarzystwo wzajemnego kredytu*. Widzimy w nim nowy czynnik rozwoju krajowego przemysłu, nowe źródło kredytu, wspomagającego chętnych i zdolnych do pracy ludzi.

Podług paragrafu I-go ustawy, *Towarzystwo Wzajemnego Kredytu* ma na celu: dostarczanie członkom swoim, *wszelkiego powołania*, głównie zaś zajmującym się przemysłem handlem i rolnictwem, potrzebnych im kapitałów obrotowych.

Towarzystwo to można zaliczyć do rzędu tak nazwanych *współek bezimiennych*, których główną obok innych cechą jest, że członkowie korzystają z obrotów i ponoszą straty, tylko do wysokości kapitału do spółki wniesionego.

Co się tyczy warszawskiego *Towarzystwa Wzajemnego Kredytu*, to członkowie jego *odpowiadają* tylko do wysokości kredytu od Towarzystwa otrzymanego, co znaczy, że w razie najniepomyślniejszego nawet obrotu interesów, jeśli kto pożyczył *sto*, to tylko do oddania *stu* zmuszonym być może. Również i przy rozdziale zysków w formie dywidendy, wysokość otwartego

kredytu za normę będzie braną. Na to szczególny kładziemy nacisk; wielu bowiem z nieświadomych stanu rzeczy, obawia się przystępować do rozmaitych stowarzyszeń, sądząc błędnie, że w razie bankructwa takowych, na stratę majątku mogą być narażeni. Członkowie ci, w mowie będącego Towarzystwa, zupełnie od tego są zabeżpieczeni. Uwaga po paragrafie 3-im ustawy, wyraźnie mówi, że: ,,żaden członek nie odpowiada wyżéj nad summę otwartego mu kredytu". Biorę sto, na zabezpieczenie téj kwoty wystawiając czy to weksel, czy zapisując hypotekę, czy dając zastaw, — i moje zobowiązania względem Towarzystwa tudzież osób trzecich, stosunki z niém miéć mogących, wyłącznie się tylko do pomienionéj kwoty ograniczają. Więcéj nikt nie ma prawa odemnie żądać, prócz procentów o obowiązku płacenia których i ich stopie, z góry jestem uprzedzony.

Daléj, mogłoby się niejednemu wydać dziwném, że Towarzystwo, dostarczające upragnionego przez wszystkich kredytu, jeszcze płaci dywidendę, i to, im kto większą weźmie pożyczkę, tém więcéj zyskać może. Tak jest jednakże rzeczywiście: im komu wyższy kredyt otwarto, tém większéj dywidendy spodziewać się może. Jest to bowiem Towarzystwo *wzajemnego* kredytu, to jest, że wielu ludzi odpowiedzialnych majątkowo łączy się z sobą, tworząc przez to zbiorowe ciało, posiadające majątek, mogący służyć za podstawę do zyskania od innych kredytu. Zgromadzone tak pieniądze rozdzielają się między członków, za co ci ostatni opłacają procenta, mające posłużyć do opłacania podobnych że procentów wierzycielom Towarzystwa oraz obrotów handlowych, zyski przynoszących. Im więc kto większą summę od Towarzystwa pożyczył, tém więcéj opłaca procentu i dostarcza majątku, dającego rękojmię odpowiedzialnością— słuszną więc jest rzeczą żeby większy w zyskach brał udział. Główną korzyścią z wchodzenia w stosunki z Towarzystwem jest to, że ono daleko większy zyskać może kredyt niż summa członków do niego należących, gdyby ci osobno pożyczać chcieli; daléj, że jako ciało zbiorowe przedstawia większą gwarancyą i niektóre przywileje od rządu nadane, a przezto na wiele wygodniejszych warunkach kredyt zyskuje—przedewszystkiém zaś, że każdy w stosunek wchodzący, z góry wié co ma zapłacić, ma do czynienia ze stowarzyszeniem, którego interesa obchodzą go także, gdyż pomyślny ich obrót i jemu korzyści przynieść może.

Na członka Towarzystwa może być przyjęty każdy znany Towarzystwu, mianowicie Komitetowi Wyborczemu, ze swéjo dpowiedzialności,—lub też przed stawiający, jako zabezpieczenie, nieruchomość, w gubernijach Warszawskiéj lub Siedleckiéj położoną, papiery procentowe, i nareszcie poręczenie osoby odpowiedzialnéj.

Majątek Towarzystwa składa się: z kapitału obrotowego tworzącego się z dziesięcio-procentowych wkładów od summ żądanych przez członków — z funduszu zabezpieczającego operacye Towarzystwa, który stanowią wszelkie gwarancye, jakich ono od członków na zabezpieczenie udzielonych im pożyczek żąda, i cały w ogóle majątek Towarzystwa—z kapitału zapasowego formującego się z 10% czystego zysku—z niepodebranéj w właściwym czasie dywidendy—oraz z procentów od tych summ. Co się tyczy tego majątku, to pozwolimy sobie zrobić uwagę, że, zdaniem naszém, sposób formowania się kapitału obrotowego nie na zupełnie praktycznych opiera się zasadach. Z jego tworzeniem się rzecz się ma, jak następuje: Każdy żądający od Towarzystwa kredytu, obowiązany wnieść do kassy 10% summy żądanéj—żądam 100, wnoszę naprzód 10. I oto jakim sposobem tworzy się kapitał obrotowy. Jest on tylko dziesiątą częścią summy kapitału, przez członków żądanego; pozostałe 90% mają być pokryte kredytem. Zakrój to zdaje się zbyt śmiały. Wprawdzie Towarzystwo przedstawia wszelkie gwarancye dla swych wierzycieli, wprawdzie kiedyś i kapitał zapasowy może w danym razie dostarczyć gotówki wymagalnéj, z tém wszystkiém jednakowoż, nagłe zażądanie zwrotu pożyczek Towarzystwu udzielonych, chwilowe choćby zaprzestanie dyskontowania weksli jego, silnie by je zachwiać mogło. Historya banków pokazuje, że nawet te, które posiadały $^1/_3$ kapitału w gotówce, nie mogły się oprzéć nieprzyjaznemu zbiegowi okoliczności. Jedyném wytłómaczeniem tak śmiałego zakroju, jest zapewnienie sobie upoważnienia Banku Polskiego do skupu weksli Towarzystwa, zwłaszcza po stopie niższéj o $^1/_2$ % od ogólnie przyjętéj.

Każdy wchodzący w stosunek z Towarzystwem, uważany jest za handlującego, bez potrzeby wykupywania świadectw gildyjnych; wszelkie jego względem Towarzystwa zobowiązania za handlowe są uważane, a należności drogą handlową ze wszystkiémi jéj rygorami, egzekwowane być muszą. Przyjęcie téj zasady było konieczne. W handlu bowiem termin jest rzeczą świętą—co ma być dziś, dziś koniecznie być musi; inaczéj, przez niedbalstwo jednego traci dziesięciu. Dla handlujących i przemysłowców nie jest to nowością; ale rolnicy ujrzą się nieraz niespodzianie zaskoczonymi jakim wyrokiem lub co gorsza, ze zdziwieniem ujrzą w swych progach komornika; — dla większości bowiem rolników termin to fraszka; długi płacą tylko przy okazyi, drwią sobie z nakazów, wiedząc, że zanim wierzyciel subhastacyą przeprowadzi, oni zdołają nie tylko zebrać pieniądze, lecz je powtórnie jeszcze między żydków puścić... Rygor handlowy na to nie pozwoli. Wrazie nieuiszczenia się w terminie Towarzystwo w imieniu Zarządu ściąga swą należność z zabezpieczeń przez członka wskazanych, a w razie ich niedostateczności lub braku, z innego jego majątku. Jeśli na zastaw dane były papiery publiczne, to ma prawo sprzedać je przez agenta giełdowego lub publiczną przed notaryuszem licytacyą, po ogłoszeniu terminu licytacyi na 10 dni naprzód, bez potrzeby wzywania dłużnika i jakiéj bądź rozprawy sądowéj. Nieruchomości zaś mogą być sprzedawane tylko zwyczajną drogą subhastacyjną. Rygory te, mianowicie odnośnie do ruchomości, są dość ostre, jednakowoż zdaniem naszém konieczne, bez nich bowiem, przy znanéj u nas niesłowności, Towarzystwo upaść by musiało.

Osiągnięty zysk czysty, rozdziela się w formie dywidendy pomiędzy stowarzyszonych, z poprzedniem potrąceniem 10% na kapitał zapasowy.

Administracya Towarzystwa składa się: 1. z Zebrania Ogólnego, 2. Rady, 3. Zarządu, 4. Komitetu Wyborczego.

Zebranie Ogólne składa się ze wszystkich stowarzyszonych. Decydować skutecznie, może tylko wrazie obecności najmniéj połowy członków. Jeśli się jednak liczba ta odrazu nie zbierze, to zwołuje się powtórnie Zebranie Ogólne, które decyduje już bez względu na liczbę zgromadzonych członków.

Zebranie Ogólne decyduje prawie zawsze większością głosów. Rozstrzyga wszystkie ważniejsze, ogólny interes Towarzystwa na celu mające kwestye— na niém się też odbywają wybory na członków Zarządu i Rady.

Dotychczasowa historya naszych Zebrań Ogólnych, bardzo pessymicznie wszystkich usposobiła, — i jesteśmy prawie pewni, że rzadko które w komplecie, przez Ustawę wymaganym, się zbierze. Każdy chętnie przystąpi do stowarzyszenia, zwłaszcza do takiego, które ma dostarczać pieniędzy, — ale radzić o jego sukcesach, poświęcić chwilkę czasu i zdolności dla spraw jego—zastanawiać się nad praktycznością tego lub innego sposobu postępowania... to już za wiele. Jeden właśnie wtedy jada obiad... inny pija kawę... inny znowu drzémie... Doprawdy trudno sobie wytłomaczyć ospałość podobną—przecież to jedyny sposób uniknienia koteryjności; między większą liczbą obradujących zawsze prędzéj zdrowa myśl zaświeci.

Drugi organ administracyi, Zarząd, składa się z trzech członków na Zebraniu Ogólném wybieranych; prowadzi wszystkie interesa Towarzystwa, jako to: oznacza stopę procentu dla skupu weksli; stanowi warunki przyjęcia na lokacyą kapitałów; prowadzi księgi handlowe i kassowe; słowem, załatwia wszelkie czynności i operacye, w zakres działalności Towarzystwa wchodzące. Decyzje Zarządu zapadają większością głosów—odpowiadają oni tylko za wypełnienie przyjętych na siebie obowiązków, ale odnośnie do zobowiązań Towarzystwa, uważani są za zwyczajnych członków. Zarząd jest płatny, już to pobierając roczną stałą pensyą, już téż tantyemę od czystego zysku.

Rada składa się z 9-ciu osób, z których trzy są członkami Zarządu; liczba ta stanowi minimum, i w razie znacznego zwiększenia się liczby stowarzyszonych, powiększoną być może. Decyduje tylko, w razie obecności $^2/_3$ członków.

Rada oznacza wysokość kredytu, jaki członkowie otrzymać mogą; mianuje urzędników; sprawdza bilanse; rozbiera przedwstępnie kwestye, do decyzyi Zebrania Ogólnego przedstawić się mające; wybiera z pomiędzy stowarzyszonych, członków Komitetu wyborczego.

Zadaniem tego ostatniego, jest ocenianie odpowiedzialności osób żądających kredytu i decydowanie, czy można lub nie, askontować weksle przez nich wystawiane. Zbiera się w miarę potrzeby.

Komitet Wyborczy rzadziéj się prawdopodobnie będzie zbierał, jak inne organy administracyi; mimo to jednak, jest to władza najważniejsza; od niéj, można powiedziéć, głównie byt Towarzystwa zależy. Członkowie Komitetu winni być wybierani z rzędu ludzi praktycznych, obszerne stosunki w świecie handlowo-przemysłowo-rolniczym mających, a przedewszystkiem nie dających się powodować prywatnémi sympatyami. Wypożyczenie kilkunastu choćby nie wielkich kwot ludziom niesumiennym, nieprzedstawiającym dostatecznych gwarancyj, może stanowczo zachwiać interesa Towarzystwa. Jak już mieliśmy sposobność wspominać, członkowie Komitetu są wybierani przez Zarząd, z grona stowarzyszonych.

Pisząc o tak ważnéj dla kraju naszego instytucyi, nie mieliśmy zamiaru wyczerpująco rozebrać jéj ustawy. Staraliśmy się przedewszystkiem zwrócić uwagę czytelników, raz na to, że są u nas ludzie, troszczący się o dobro społeczne, ludzie, których nauka i praktyczne zdolności zawsze są gotowe do ukazywania drogi rozwoju ekonomicznego, powtóre pragnęlibyśmy potrzebującym kredytu wskazać sposób uzyskania takowego na przystępniejszych o wiele warunkach niż te, jakie prywatni kapitaliści stawiają. Kupiec lub przemysłowiec, chcący dokonać jakiejś operacyi a niemający potrzebnego na to kapitału, byle tylko poprzedniem wywiązywaniem się z przyjmowanych zobowiązań i fachowémi zdolnościami, dawał rękojmię wypłacenia się w terminie, —zyska z pewnością kredyt, który mu ułatwi przedsiębierstwo i często stokrotne przyniesie zyski.

Sumienny i słowny rolnik, zamiast sprzedawać zielone jeszcze zboże pe cenach letnich, powszechnie najniższych,—weźmie z Towarzystwa zasiłek, dający mu możność opędzenia żniwnych wydatków.

Wielka szkoda, że z tak pożytecznéj instytucyi mogą korzystać tylko Warszawska i Siedlecka gubernija; przecież i inne strony kraju potrzebują kapitałów, nawet powiem, że potrzebują ich więcéj może niż te, którym Towarzystwo w pomoc przychodzić zamierza.

Nie tracimy więc nadziei, że w przyszłości i inne gubernie do stowarzyszenia przyjęte zostaną.

W dniu 23 Stycznia r. b. odbyło się pierwsze Ogólne Zebranie, które zagaił ks. Jan Tadeusz Lubomirski, jednomyślnie na prezesa Zebrania obrany.

Późniéj i inni członkowie zabierali głosy, już to w celu wykazania pożytku zawiązującéj się instytucyi, już téż w zamiarze objaśnienia nastręczających się kwestyj. Poczém przystąpiono do głosowania, i w skutek tego na członków Zarządu obrano: pp. Wiśniawskiego Juljana, Hermana Józefa i hr. Jezierskiego Karola,—do Rady: ks. Jana Tadeusza Lubomirskiego, Gonszeckiego Władysława, Blocha Jana, Bruna Stanisława, Nagórnego Antoniego i Goldstanda Jana. Uformowany tak Zarząd i Rada, przystąpi dopiero do wyboru najważniejszego organu administracyi t. j. Komitetu Wyborczego, do którego zapewne będą powołani reprezentanci tak rolnictwa, jako przemysłu i handlu.

J. Święcicki.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy.*)

— I będzie nosić atłasy, aksamity i djamenty — rzekł Dermot ściągając wargę — i pomyśli: nierozsądna! sama otworzyła mi drogę.

Sybilla rzuciła się na sofę i ukryła twarz w poduszkę; podniosła ją potém bladą, gniewną, z oczami płomienistémi. Cierpienie jéj doszło do tego stopnia, że nie objawiało się już łzami, ani jękami. Potrzebowała zemsty, i jak zwykle dzieje się w takim razie, nie mogąc dotrzéć winnéj osoby, zwróciła się na niewinną.

— Tak, trijumfuj pan nademną!—zawołała—boś ją nienawidził tak mocno, jak ja ją kochałam, i dlatego przybyłeś zadać mi cios, i śmiać się z mojéj doli. Trijumfuj pan!—Że mnie oszukała, to dla pana nic nie znaczy!—cóż to panu szkodzi, że ona jest żoną mojego ojca i, jak powiadasz, będzie nosić axamity i djamenty?

Wzrok jéj i ton mowy ubodły Dermota. Ściągnął brwi i rzekł:

— Pytasz się pani co mnie to obchodzi?—i bardzo nawet! Była twoją przyjaciółką, a moją była kochanką,—wielbioną i kochaną. Jest żoną twojego ojca—a miała być moją.

Sybilla zbladła, jak ściana. W jednéj chwili przypomniała sobie szereg obrazów tak przykrych, poniżających ją, że wolałaby umrzéć, byleby ich uniknąć. On był kochankiem Blanki, a ona, Sybilla, kochała go!... i mówiła o tém jego kochance! Dzika rozpacz ją ogarnęła.

— Czy pan chcesz mnie zabić? zawołała.—Cóżem zrobiła, że mnie tak dręczysz; cóżem zrobiła?

— A cóż ja zrobiłem?—zapytał z oburzeniem. Nie jestem sprawcą, tylko zwiastunem złéj nowiny. Zapytałaś mnie pani o prawo sądzenia téj zdradzieckiéj kobiety, więc powiedziałem je, bom je miał od trzech lat! Cóż to może panią obrażać?

— Prawda,—z goryczą rzekła Sybilla,—cóż mnie ma obrażać fałsz, udawanie i zdrada, które mnie od roku otaczają? Nie chcę sądzić postępowania mego ojca,—przed dzieckiem swojém nie potrzebuje zdawać rachunku. Ale pozwól mi pan zapytać się, dlaczego wszedłeś do tego domu pod przybranym charakterem i pokrywałeś stosunek, w jakim byłeś z gościem mego ojca, a moją przyjaciółką?

Mówiła to gorzkim, szyderskim tonem, który go dotknął do żywego.

— Panno Kennedy, rzekł, usiłując tłumić gniew, podczas gdy żyły nabrzmiewały mu na czole — nie masz praktycznego doświadczenia życia, i dla tego muszę ci darować. Mężczyzna, nie wybiéra młodego dziewczęcia na powiernicę w sprawach tego rodzaju.

— Czyż pan sądzisz, że ja pragnęłam być pańską powiernicą? zawołała z gniewem Sybilla—kto żądał od pana zwierzeń poufnych? Ale powinieneś był pan powiedzieć o tém mojemu ojcu,—powinieneś był!

— Powtarzam pani, że nie znasz praktycznych stron życia. Czyż to była moja tylko tajemnica?—tajemnica ta należała do kobiety, a więc podwójnie była świętą.

— Czemuż mi więc ją pan teraz powiadasz? — zapytała Sybilla. Wiém dlaczego — ażeby się zemścić, ale nie, żeby mi usłużyć!

Dermot spoglądał na nią zdziwiony i oburzony.

— Jesteś pani niewdzięczna—rzekł tracąc cierpliwość—i powinienbym zostawić cię losowi. Wracam do tego domu, aby cię ostrzedz,—gdyby mnie tu nie było, to pierwszym jéj czynem, byłoby wygnanie ciebie.

— Byłaby więc litościwszą niż pan,—rzekła gorzko Sybilla. Okazałaby tém, że wié, iż są cierpienia, których znieść nie można.

Rzekła to tak bolesnym tonem, iż wzruszyła serce Dermota. Była względem niego okrutną, niesprawiedliwą, ale boleść ją tłómaczyła.

— Sybillo — rzekł—nie bądź pani taką,—niech nas wspólna krzywda zjednoczy! Bądźmy przyjaciołmi!

Wyrzekł to z wielką dobrocią i spokojnym tonem.

— Jak pan łatwo to znosisz! — zawołała — jak łatwo!—boć przecie ją kochałeś.

— Nie!—rzekł ze wzgardą—kochałem szlachetną, dobrą kobietę, niezdolną do żadnéj nikczemności, ani oszukaństwa, ani zdrady, ale nie Blankę Cains.

— I ona jest żoną mojego ojca! rzekła Sybilla wracając do smutnéj treści rozmowy.—Cóż ja jestem?

Padła na krzesło z wzrokiem pełnym boleści. Dermot siadł przy niéj i wziął jéj rękę.

— Sybillo,—rzekł cicho—będę dla ciebie szczerym i wiernym przyjacielem.

Sybilli wstyd się zrobiło nagłéj, wewnętrznéj radości, jaką na te słowa uczuła. Wyznała sobie w duchu tę miłość, przeciwko któréj walczyła,—słabość, któréj musiała ulegać nawet w téj gorzkiéj chwili rozczarowania. Nagle zbladła i zapytała z pomięszaniem:

— Panie Dermot, powiedz mi — czy ona kiedy wydała mnie przed panem? czy mówiła co... coś, jedném słowem?

— Czy mi co mówiła? Co takiego?... Nie mieliśmy żadnych tajnych schadzek.

— Nigdy? zapytała Sybilla nieco spokojniejsza.

Dermot uśmiechnął się.

— Nigdy,—to znowu zbyt krępujące wyrażenie. Pamiętasz pani, jakeś mnie w lasku, niedaleko młyna spotkała? a także ów poranek, kiedy porost morski na mojéj odzieży obudził twoje podejrzenia?—Zpoczątku zdarzały się takie schadzki, ale już wtenczas nie byliśmy czułymi kochankami, raczéj sekretnymi nieprzyjaciołmi, obserwującymi się nieufnie.

— Dość mi na tém. Widzę, że nie była tak zdradziecką, jak przypuszczałam!

— Nie zdradziecką?!—przerwał namiętnie Dermot. A nie wiész pani, że zaraz na początku postanowiła sobie nie dopuścić tego, iżbyś poszła za tego nieszczęsnego młodzieńca: plan jéj nie dojrzał jeszcze, bo jeszcze nie zdołała otumanić ojca pani, nie chciała więc opuścić tego domu. Zarzuciła siatkę na hrabiego i doprowadziła go do tego, że jéj napisał owe kilka wierszy. Natychmiast je przysłała do mnie, a ja nie wiedząc, że spełniam jéj zamiar, przybyłem, żeby przestrzedz panią.

— A! pan byłeś zazdrosny i dlatego tu przybyłeś — rzekła ponuro Sybilla.

— Gdybym był zazdrosny, byłbym bystrzejszy. Jakkolwiek zręczna, nie oszukałaby zazdrosnego. Zresztą, nie jestem tak dowierzający ludziom jak pani.

Sybilla wzniosła ręce do góry,

— Oszukała nas oboje,—rzekła — fałszywa względem mnie, fałszywa względem pana, fałszywa względem niego — względem wszystkich!

Dermot wziął ją za rękę, jakby ją powstrzymywał w uniesieniu, i rzekł:

— Pamiętaj pani, że gdy wychodziła za twego ojca, była wolna, zupełnie wolna. Zwróciłem jéj listy, portret jéj i wolność. Nie mam prawa robić jéj wyrzutów o złamanie wiary, ani też prawa mówić Jakóbowi o moim poprzednim do niéj stosunku. On pewny, że zaślubił anioła; powiedziała mu naturalnie, że jest jéj pierwszą miłością, tak jak mnie to kiedyś mówiła. Niechże jéj wierzy. Ostrzegać go—byłoby zapóźno, byłoby okrucieństwem. Będę milczał, a wiém, że i pani tak zrobisz. I pani nie byłbym mówił ani słowa o tém wszystkiém, tylko należało mi cię ostrzedz, a w potrzebie i stanąć w obronie. Dlatego tu pośpieszyłem.

— Co ona może mi zrobić? zapytała Sybilla.

— Pytasz się pani! Młoda, piękna, kochana żona pięćdziesięcioletniego mężczyzny, starać się będzie naprzód wrócić do dobrych z tobą stosunków, opanować cię,—a jeżeli się jéj to nie uda, wygnać cię z serca i domu ojcowskiego. Lecz mam ja jeszcze kilka strzał w kołczanie, o których ona nie wié. Nie lękaj się pani.

— Czyż ojciec mój polecił panu uwiadomić mnie o tém, co zaszło? zapytała po chwili Sybilla.

— Ojciec pani sądzi, że jestem w drodze do Kanady. On teraz przebywa w Szkocyi ze swoją młodą żoną, a ja, nie uważałem za potrzebne zawiadamiać ją, że mnie tu spotka, gdy powróci.

— Ale czyś pan pewny, że oni się pobrali? zawołała Sybilla.

— Tak pewny jak tego, że żyję. Gdy mi dano wiadomość o tém małżeństwie, udałem się na miejsce i widziałem ich.

— I ona tu przybędzie?... i pan potrafisz znieść jéj widok!

— Zniosę!—chłodno odpowiedział Dermot.

— O, nigdy jéj pan nie kochałeś tak, jak ja kochałam!

— Powiédz pani raczéj, że moja miłość umierała tysiącem śmierci, a miłość pani legła od jednego ciosu. Biedna Sybillo, oby się twoje cierpienia na tém skończyły!

Widząc ją płaczącą, wziął za rękę i patrzał z współczuciem.

— Jesteś pan dla mnie dobry,—rzekła—ale i pan przestaniesz dbać o mnie;—ojciec mnie kochał, a zapomniał o mnie, i pan tak zrobisz.

— Nie mogę, choćbym chciał. Byłaś pani względem mnie przykrą, niesprawiedliwą, podniecałaś gniew mój, a jednak nie stracinem dla ciebie przyjaźni,

Sybilla zadrżała; rozmowa weszła na ten tór, iż łatwo mogła ją zdradzić. Głos pani Mush w przedpokoju, przerwał ten zwrot niebezpieczny. Dermot rzekł pośpiesznie:

— Nie okazuj pani po sobie, iż masz wiadomość o tém, co zaszło!

— Dobrze!—odpowiedziała Sybilla. Dobranoc panu.

Wysunęła się szybko z pokoju i pobiegła do swojéj samotnéj sypialni. Tam, oddała się swobodnie łzom nad tą nowo doznaną, a tak okrutną zdradą.

Jedna uwaga, wśród tego żalu, przychodziła jéj ciągle do głowy. Nie brakło jéj ostrzeżeń, na które zawsze uśmiechała się tylko. Ojcu swemu narzuciła Blankę, nudząc go swémi prośbami. Dała jéj sposobność sama. Gorzkie to były myśli, ale nadewszystko bolesne było uczucie zabitéj i pogrzebanéj przyjaźni.

Gdy w ciągu bezsennéj nocy przypominała sobie Sybilla, jak zawsze, wszystkie swoje myśli i uczucia odsłaniała Blance, czytać je jéj pozwalała;—gdy przypomniała sobie, jaki użytek z téj otwartości mogła robić przyjaciółka, i jaką sobie z niéj robiła igraszkę,—wtedy przedstawiał się jéj oczom, cały ogrom doznanego zawodu i zniewagi, cała otchłań, dzieląca przyjaźń od wstrętu i nienawiści.

ROZDZIAŁ VI.

Na drugi dzień rano, Dermot, spotkawszy w korytarzu Sybillę, wyburczał ją za widoczne na jéj twarzy ślady bezsennie spędzonéj nocy, i zapytał, czy zauważyła sztuk młotków, dający się słyszeć od samego rana.

— Nie?—muszę więc panią uprzedzić, że nadeszły tu ogromne paki mebli, nowych, kosztownych, wspaniałych, do użytku pani młodéj. Blanka je kupiła, i trudno ją ganić za to, że stara się ściągnąć wysoką opłatę od swojego nabywcy. Przybyły tu więc pierwsze piękne zadatki téj opłaty. Dwóch doświadczonych, paryzkich tapicerów odnawia teraz mieszkanko pani Kennedy. Pójdź pani, przyjrzyj się, musisz się hartować zawczasu.

Sybilla zarumieniła się i zbladła, ale ulegając ciekawości, poszła oglądać.

Dwóch tapicerów, na mocy listu z instrukcyą pana Kennedy, zajęci byli robotą. List, oprócz téj instrukcyi co i jak ma być zmienione, ani słowa więcéj nie zawierał. Do córki nie napisał, i gdyby nie była uprzedzoną, mogłaby przypuszczać, że to dla niéj ojciec stał się tak hojny. Niestety! ta milcząca obojętność była już zapowiedzią jéj przyszłego losu.

Blanka, jak widać, wybrała sobie dawny swój pokój, bo w nim rozpoczęli swą pracę tapicerzy, i bardzo zręcznie brali się do dzieła. Wyrzucili dawne wszystkie sprzęty z pokoju, bez względu na różne drobne pamiątki miłości Sybilli dla jéj przyjaciółki. Uprzątnęli maleńki stolik z różowego drzewa, który ona tam postawiła, i toaletę, którą własnoręcznie nakryła muslinem; poobrywali papier ze ścian, a w jego miejscu zawiesili jedwabne adamaszkowe obicia, koloru niebieskiego. Tkankę jego przeplatały maleńkie białe Kupidyny, kręcące się pomiędzy kwiatami, i wypuszczające strzałki. Inne, ulatywały z zawiązanémi oczami; inne znowu, leżały zaczajone poza wieńcami kwiatów, z naciągniętym łukiem Takich wspaniałości nie widziała dotąd Sybilla; wyobrażała sobie coś podobnego chyba w królewskich pałacach.

— Jakże się pani podobają te Kupidynki? — rzekł Dermot. Łokieć takiéj materyi kosztuje funt szterling, i to jeszcze bardzo tanio, za bezcen, powiadają ci panowie.

— Bardzo ładne!—odpowiedziała Sybilla, byleby coś odpowiedzieć.

Po obwieszeniu ścian w ten sposób, wydobyto i przyniesiono nowe meble. Dywan wyglądał jak malowidło, tak świeże zdały się na nim róże. Bogini mogłaby po nim stąpać i sądzić, że jest w Olimpie. Łóżko z jakiegoś osobliwego szarego drzewa, miało jedwabny połysk, a toaletę okryto kosztownémi koronkami. Wszystko wyborne harmonizowało,—a gdy zawieszono delikatne firanki u okien i nad łóżkiem, pokój wyglądał tak ślicznie, iż serce Sybilli wezbrało zazdrością.

— Najgorsze z tego wszystkiego—rzekł Dermot, wychodząc za nią z pokoju, to to, że cały ten przepych za nasze pieniądze. Jakób nie jest bogaty, i szalona ta kobieta zrujnuje go tym sposobem.—I salon mają przemeblować. Gładki, czerwony axamit już teraz zamało strojny: mają być gobeliny i krzesła rzeźbione i złocone. Podobno i nowa kareta jest dla nowéj bogini w Saint-Vincent, i harfa kosztowna, przy któréj będzie mogła pokazywać swoje piękne ręce. A teraz, muszę pani dać przyjacielską przestrogę: porzuć smutek i biadanie, które ci odejmuje rumieńce i gasi blask oczu. Bądź młodą, wesołą i piękną,—a jeżeli spotkasz uczciwego człowieka, który wart będzie ciebie, wyjdź za niego i uciekaj z tego domu, nad którym zawisła ruina.

— Dziękuję, — sucho odpowiedziała Sybilla. Nie śpieszy mi się.

— Tego nie mówię; nie bierz mi pani za złe mojéj otwartości. Rozbiliśmy się na jednym okręcie—i zostaliśmy wyrzuceni na jedną, pustą wyspę. Zamiast się sprzeczać, radźmy lepiéj o sposobach wydobycia się z trudnego położenia. Idziesz pani do ogrodu—pozwól mi towarzyszyć sobie, bo jeszcze więcéj mam do powiedzenia.

Stali w sieni;—zdjął wiszące tam okrycie i zarzucił je na Sybillę, która niechętnie przyjęła propozycyą wspólnego spaceru. Uprzejmość jego, była dla niéj męczarnią. Każe jéj zapomnieć, być wesołą i wyjść za mąż:—czyż może jéj ofiarować miłość, któraby teraźniejsze jéj zmartwienia niepamięcią okryć mogła?—czyż może podjąć się troski o jéj szczęście i wynagrodzić jéj straty, zastąpić czułość ojca i przyjaciółki? - Nie, nie może, nie myśli o tém;—pocóż więc próżne słowa? lepsze by było milczenie i spokój.— Pan Dermot szedł obok niéj, nie domyślając się takich myśli, i bezwiednie zwiększał jeszcze jéj tajemne rozdrażnienie.

— Widzisz pani—mówił—twoje położenie będzie trudne z tego względu, że wypadnie ci może przez lat kilka żyć razem z twoją nieprzyjaciółką. Nazywam ją nieprzyjaciółką, nie dlatego, iżbym przypuszczał, że cię nienawidzi, ale że, przez zmysł własnéj obrony, musi nią zostać. Nigdy jéj już nie będziesz mogła kochać. Chociaż jéj przebaczysz, to wiémy dobrze, czém jest przebaczenie bez miłości. Ona będzie chciała kierować swoją pasierbicą — a czyż pani to zniesiesz?... Nie, i dlatego powiadam, że pójście za mąż... dobre, rozumié się, jest dla pani jedyną drogą do uchronienia się od licznych zmartwień.

— A pan, jak myślisz się urządzić?—zapytała Sybilla. Wszak i pan będziesz tu miał trudności do pokonania.

Dermot wyjął z ust cygaro i uśmiechnął się znacząco.

— Raczéj to pani Kennedy będzie miała trudności,—odpowiedział. Myśli, żem pojechał do Kanady; myśli, że ojciec pani przetrzyma mnie tam dość długo.—Nierozsądna! Wyszła za człowieka nie lubiącego się zwierzać z niczém, i nic nie wié o jego zamiarach, majątku lub interesach. Opatrzność w jednym punkcie skrzyżowała jéj plany. Nie pojadę do Kanady, a ona, albo będzie musiała opuścić Saint-Vincent, albo znosić tu męczarnię mojéj obecności... bo ja tu zostanę, może na zawsze!.

— Na zawsze!—na tę myśl serce Sybilli bić zaczęło.

— Więc pan jesteś bez czucia—rzekła nagle, zwracając się do niego. Miałeś ją pojąć za żonę, a teraz nie wzdrygasz się na myśl widzenia jéj codzień! *(d. c. n.)*

WIENIEC.

Dawno już w piśmiennictwie perjodycznem naszém czuć się dawała potrzeba Organu, któryby z jałowego pola abstrakcyjnych mrzonek i ascetyczno-moralnych rozpraw, na pole realnych społecznych interesów zchodząc, zwrócił się z żywém słowem do działu ludności, który najbardziéj podobno opieki prasy nad sobą potrzebuje, na któréj przeważnie pomyślność kraju naszego spoczywa, a który jednakże, spowity snem nieświadomości, od niepamiętnych czasów zapomniany przez wszystkich większych od siebie,—jak rola nieuprawna stoi odłogiem, i rosy i słońca nadaremnie czeka. Organ taki, wziąwszy za sztandar swój *postęp*, nie mając wrzed sobą żadnego innego celu nad *cywilizacyą*, która sama w sobie, najwyższém zawsze jest, według nas, *dobrém*,— powinienby całą starą i dotychczasową *rutynę* daleko zostawiając poza sobą, wejść śmiałym krokiem w rozproszone szeregi owéj klasy naszego społeczeństwa, i zapoznawszy się z nią *po kumowsku*, zacząć jéj stylem prostym, popularnym i jasnym wykładać, jaką bronią nadal walczyć z losem o *życie*, kiedy przed nim rozumnie ustępować, a kiedy wstępnym bojem szturmować do

niego, powinna. Myślimy o klasie rzemieślników, rękodzielników wreszcie i przemysłowców, wszelkiego rodzaju.

Otóż znalazły się nakoniec Redakcye, które to niezbędne i szczytne zaiste, zadanie, podejmują na barki swoje, a w rzędzie ich niewątpliwie zajmuje dotąd znaczne miejsce: „Gazeta Przemysłowo-rzemieślnicza".

Nie czas tu rozbierać pomieszczone dotąd w rzeczonej Gazecie, porządkiem różnych rubryk, artykuły, — ani też ogólnie nawet wyliczać je po imieniu. Powiémy tylko, że Gazeta owa, jeżeli tylko potrafi utrzymać się nadal w kierunku, który sobie dotąd widocznie obrała, potrafi w téj saméj formie i głosem tym samym, przemawiać do czytelników swoich, których część przeważną zapewne klasa średnia stanowi, — stanie się jednym z najpożyteczniejszych i najbardziéj poczytnych organów naszéj literatury perjodycznéj.

Dość wziąść naprzykład choćby artykuł z tytułem: *Do Panów Majstrów o szkołach rzemieślniczych*, zakończony w piątym numerze wymienionéj Gazety, aby się przekonać, jak jéj Redakcya dobrze zadanie swoje wobec potrzeb dzisiejszych naszego społeczeństwa, pojęła. Według nas, taką tylko drogą i takiém słowem dostać się można do serc téj masy naszéj ludności, która w obskurantyzmie umyślném przez pseudo-apostołów dotąd chowana, zamiast w stado chrystusowe czyli, jak mówią, w chrystusową trzódkę, w stado *prawdziwe* i w *istną* trzodę, w niedługim czasie przemienić by się mogła. Krzyczą te apostoły ciągle: Chodźcie co najczęściéj do kościoła! spowiadajcie się bez końca! módlcie się! bijcie się w piersi! biczujcie się i... pośćie! Nie słuchajcie uczonych, albowiem oni wam mącą głowy! Bez ksiąg się ich obejdziecie, albowiem lepsze jedno słowo od nas, jak miljon wyrazów od nich. Ten przeklęty—tamtent wyklęty—ów zaklęty—i t. d. Religija! moralność! moralność i religija! etc.....

Gdybyż który z tych panów przyszedł, a powiedział wreszcie: Słuchajcie moi bracia! Potrzebna religija — bo to są pojęcia o *miłości* i o *pięknie*, nasze. Konieczna moralność—bo to są nasze zasady o tém, czém być tu na ziemi powinniśmy. Ale... ani religija, ani moralność istnieć bez nauki, bez światła, nie mogą; przynajmniej, obie te nic nie są warte—bez wiedzy. Chodźcie tedy do kościoła, ale częściéj jeszcze do szkoły—módlcie się, ale nie słowem lecz czynami—zamiast zaś pościć i biczować się bez żadnej z tego dla Boga ani dla was korzyści, uczcie się na chléb zapracowywać, abyście jeść co mieli... i uczcie się (raz jeszcze), abyście umieli podstawiać cierpliwie plecy pod straszne często losów, biczowanie!

Światła szukajcie! przedewszystkiem światła!

Ono da wam moc— stworzy wam w sobie kościół i Boga!

Gdybyż który z apostołów taki się znalazł.

Pocóż bo krzyczeć o to, czego brak właśnie najmniéj u nas oczy razi? Czyż my, słabi jesteśmy, chorzy i szwankujący, przeto, żeśmy niereligijni lub niemoralni?

Gdzie i w czém ślady téj *demoralizacyi*... w kościelném właśnie słowie tego znaczeniu?

Sąż więcéj na świecie kraje religijne, jak — Hiszpania? Dominikanizm i Jezuityzm, gdzież się najlepiéj przyjmowały zawsze?

Chceciež więcéj jeszcze tych trocin?

Nauki nam trzeba—i oto wszystko. Nauki—światła—tolerancyi pojęć—*życia* w myśli i w powzięciu—trwałości w postępie—realizmu w celach. Mnisza, dogmatyczna moralność zpróchniła nas właśnie.

Palemy się — ale dmucha na nas nie życie całém powietrzem swego przestworu, lecz.. śmierć przez wyszczerbione zęby.

Pragniemy czegoś—ale pragnienia nasze, wprzód nim je poweźmiemy, konsumują się już niejasnością kresu, w mgle scholastycznych mrzonek migocącego.

Z pism—porobiliśmy cele.

Ze szkół—ambony.

Z książek—kazania.

Z autorów—derwiszów...

A dobrobyt kraju—a przemysł jego—a handel—a szczęście—a pomyślność wszelka? Te da Bóg, przy modlitwach naszych—mówimy—pracy na to naszej nie potrzeba!

Módl się więc, kto chce daléj—a Gazeta Przemysłowo-rzemieślnicza, zpowodu któréj cały ten ustęp myśli pomimowoli nam się wysnuł z głowy,—niech swoją drogą krocząc, trzyma się daléj tego, od czego zaczęła.

Do szkoły, do światła, do nauki, niech zachęca tych, których dotąd właśnie jedynym nauczycielem był—ksiądz.

Zobaczymy, czy na złe wyprowadzi ją ta próba!

Toć ludzi dużo, dlatego stworzonych przez Boga, aby tu na ziemi przez wszelkie przechodzili próby i doświadczali wszystkiego.

Miłość strzeże ród ludzki od zatraty, a czas—czeka!

— Nie miejsce może w „Wieńcu" na to, ale korzystamy z przypomnienia sobie, aby objaśnić *pewne* osoby, które nam listownie *pewne* pytania nadesłały, iż nie zrozumiały nas wcale czytając artykuł p. Korabicza p. t. *Z powiatowego partykularza*, i kilka numerów ostatnich „Wieńca" z tego już roku.

Jeśli szczere pochwały przyznane już przez nas pismom jak: *Niwa, Przyroda i Przemysł*, oraz obecna—*Gazecie Przemysłowo-Rzemieślniczéj*, mało nas od zarzutu wszelkiéj wsteczności bronią; jeśli nareszcie cały ustęp powyższy w dzisiejszym Wieńcu, z tytułu téjże ostatniéj Gazety wypowiedziany, dokazać tego jeszcze nie w stanie;—natenczas dopowiémy krótko, iż będąc pierwsi czcicielami genijuszu Darwina, zaaprobowaliśmy tylko artykuł p. Korabicza, z racyi powstawania jego właśnie... nie na Darwinizm, a na powszechną płytkość i nie kompetencyą rozbiorów tyczących się dzieł tego znakomitego naturalisty. Następnie, że w Wieńcu powtarzane często słowa: *religija* i *moralność*, obok niemniéj często powtarzanych słów: *nauka* i *światło*,—miały w naszém przekonaniu wcale nie ujemne wobec *postępu*, ą owszem, bardzo dodatnie znaczenie.... i żeśmy przynajmniej tak tę rzecz przyjmowali sami. Nakoniec, że cały ustęp o wnioskach jakoby redakcyi, z ukamienowania nauczycielki przez 20 chłopców w Ameryce,—znalazł się w Wieńcu naszym tylko przez fatalną pomyłkę, któréj często, przy oddawaniu rękopismów do druku, najbaczniejsza nawet redakcya ustrzedz się nie może; dlaczego téż odwołujemy go najzupełniéj, wyznając głośno, iż żywimy w duszy za wiele uznania dla *postępowości* na drodze *wiedzy* i społecznego ustroju Zjednoczonych Stanów Ameryki, abyśmy, gdyby nawet ów fakt *ukamienowania* i miał tam istotnie miejsce, składali go na karb *braku religii* w społeczeństwie Ameryki, nie zaś na karb jakiejś wyłącznéj tylko, innéj, i bardzo jednostkowéj przyczyny.

— Grono znakomitości artystycznych scenicznych, zostało zmniejszoném znowu o jednego ze swoich najgenijalniejszych pracowników, którego po ciężkiéj chorobie, śmierć zabrała. Bogumił Dawison przeniósł się do wieczności.

Niepowetowana to strata dla sztuki. Genijusz zwykle po sobie zostawia smutną noc czczości, a tymczasem wieki całe trzeba nieraz czekać na niego.

Zmarły artysta rozpoczął debiuty swoje na naszéj scenie, ale my... jak to my zwykle: wierząc tylko w starych *ukoronowanych* krytyków, wyśmieliśmy go za grę jego zaraz w początku, wślad za owymi właśnie pp. krytykami, tak, że ten po sprawiedliwość... do Niemców się aż udać musiał.

Pomiędzy tymi artysta znalazł to, czego był wart—sławę.

Postawmy mu więc pomnik przynajmniéj w pamięci własnéj.

— Dr. Szokalski podnosi już powtórnie w Kurjerze Warszawskim, projekt nowéj ustawy, obowiązującéj lekarzy do sprawdzania zapomocą wszelkich rozporządzalnych środków medycznych, po śmierci każdéj jednostki, autentyczności téjże śmierci,—dla zapobieżenia powtarzającym się dość często przypadkom *śmierci pozornéj* czyli *letargu*, jako téż uwolnienia się od konieczności trzymania ciała zmarłych, przez trzy dni *obowiązkowo*, przed ich pogrzebaniem. Dziwimy się bardzo, że dotąd jedno zaledwie dopiéro pismo (Gazeta Polska), wmięszało się swoim głosem do rozprawy nad tak niemałoważną i obchodzącą społeczność, kwestyą. Projekt D ra Szokalskiego zasługuje, według nas na szczere poparcie, i sądzę, że niemniéjszą aprobacyą w całym ogóle czytelników swoich wzbudził.

— Na zakończenie wreszcie dzisiejszego *Wieńca*, zwracamy uwagę czytelników na doskonały, a bardzo popularnie napisany artykuł, w piśmie „*Przyroda i Przemysł*", którego dokończenie w Nr. 6 już znajdujemy, p. t. „Historyczny rozwój poglądu na budowę Wszechświata."

Podobną przystępnością niekoniecznie jednakże odznacza się drugi, zamieszczony równie w tymże samym numerze, artykuł, p. t. „O chemicznéj budowie ciał."

a. b...

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.

Patrz Dodatek.